



PARADA



ROK I

NIEDZIELA, 3 PAŹDZIERNIKA 1943 R.
SUNDAY, OCTOBER 3, 1943

Nr 13

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mls., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., we Wsch. Afryce 6 d.



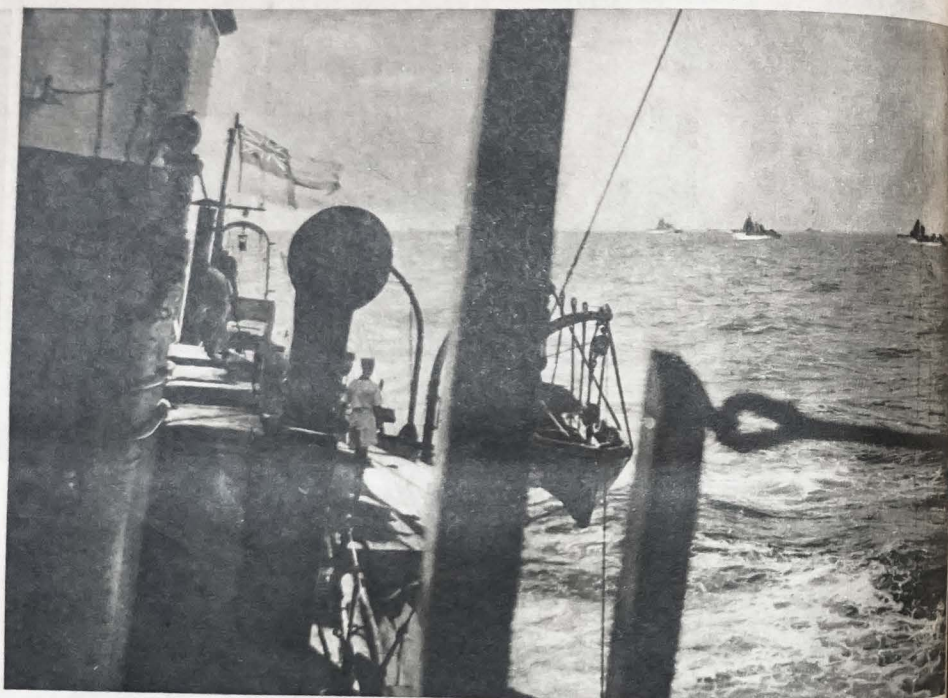
Krążownik włoski klasy „Littorio” w pobliżu Malty



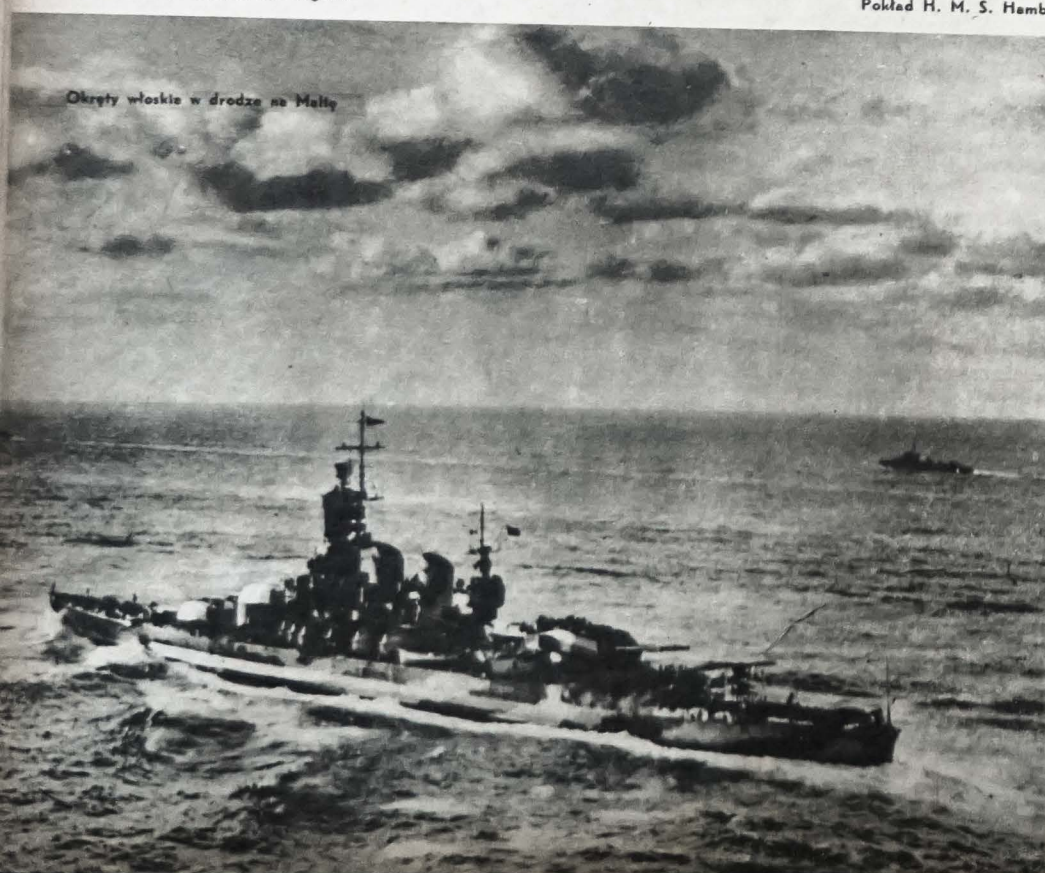
Wyższy oficer marynarki włoskiej na pokładzie jednego z brytyjskich okrętów eskortujących



Sir Andrew Browne Cunningham



Pokład H. M. S. Hambleton



Okręty włoskie w drodze na Malty

PODDANIE SIĘ FLOTY WŁOSKIEJ

Na skutek kapitulacji Włoch flota włoska, posłuszna rozkazom gen. Eisenhowera, zawinęła do portów sprzymierzonych. 10-go września 1943 roku pancerniki „Guilio Cesare”, „Andrea Doria”, „Vitorio Veneto”, „Eugenio di Savoia”, „Giuseppe Garibaldi”, „Duca d'Aosta”, „Raymondo Montecucoli”, krążowniki „Luigi”, „Adorna”, „Pomeo Magno” oraz szereg kontrtorpedowców, torpedowców, łodzi podwodnych i okrętów pomocniczych zebrało się u wybrzeży Cape Bone celem przekazania dowództwa admirałowi brytyjskiemu Sir Andrew Cunningham głównodowodzącemu floty sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym. Sir Andrew Cunningham i gen. Eisenhower stojąc na mostku kapitańskim kontrtorpedowca „Hambleton” obserwowali ów ostatni akt, który przypieczętował zwycięsko cztery lata wojny morskiej na Morzu Śródziemnym. Wśród eskadry kontrtorpedowców brytyjskich eskortujących flotę włoską do portów sprzymierzonych znajdował się H. M. S. Warspite, który 25 lat temu, 21 listopada 1918 roku, prowadził pokonaną flotę niemiecką do portu internowania.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

ROK I

PARADA

NIEDZIELA, 3 PAŹDZIERNIKA 1943

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

№ 13

POSTĘPY OFENSYWY SPRZYMIERZONYCH I SYTUACJA NA FRONCIE WSCHODNIM

Bitwa o Salerno przeszła już dziś do historii. Jest fragmentem przeszłości, nim jednak odwrócimy naszą uwagę od tak aktualnych do niedawna wydarzeń — powinniśmy zdać sobie sprawę z kilku zasadniczych faktów, które nie są dość powszechnie znane.

Błędem jest wyrażanie poglądu, że marszałek Kesserling popełnił omyłkę. Prawdą natomiast jest, że poniósł porażkę i to jest fakt, który się liczy.

Tak samo nieporozumieniem jest sądzić, że sprzymierzeni byli liczebnie w równej sile, co nieprzyjaciel. W czasie desantu wojska atakujące zawsze początkowo są mniej liczne od obrony i jeżeli w dalszym biegu działań zyskają wyrównanie lub nawet przewagę — to dzięki temu tylko, że ofensywa została uwięziona zwycięstwem.

Należy jeszcze podkreślić, że piąta armia pomogła piątemu korpusowi i ósmej armii w właściwym wyzyskaniu ich stanowisk, w rejonach południowych. Ocena powyższa jest znacznie bardziej bliższa prawdy, niż mniemanie, jakoby oddziały piątego korpusu i ósmej armii uratowały piątą armię od klęski.

Niemcy zapamiętają do końca wojny lekcję, jaką otrzymali pod Salerno od żołnierzy piątej armii. Armia ta pobiła wyborowe oddziały wojsk niemieckich, które dysponowały najnowocześniejszym sprzętem, przy czym marsz. Kesserling był doskonale poinformowany o zbliżającym się niebezpieczeństwie i miał dość czasu, aby w pełni przygotować swą obronę. Nie ulega wątpliwości, że zwycięstwo to ma historyczne znaczenie.

W Rosji w dalszym ciągu rozwija się wielka ofensywa wojsk sowieckich. Nieprzyjaciel ewakuował Sycylię, a na Korsyce sytuacja jest analogiczna. Sprzymierzeni zajęli już niektóre wyspy Dodekanazu. Niemcy oświadczają, że inwazji Bałkanów należy spodziewać się z dnia na dzień. Winston Churchill zwrócił ich uwagę na niebezpieczeństwo zagrażające im znacznie bardziej na zachód i jest rzeczą zupełnie oczywistą, co do której nigdy nie można było mieć żadnej wątpliwości, że sprzymierzeni prędzej czy później wylądują we Francji.

Ofensywa sprzymierzonych zaczyna się więc naprawdę rozwijać, a tymczasem z Niemiec napływają wiadomości o znamienitych reakcjach społeczeństwa.

Zróżdka niemieckie rozgłaszają, że wycofywanie się z frontu wschodniego, mające skrócić linię obrony, ma na celu zwolnienie pewnej liczby wojsk, potrzebnych na zachodzie i na południu Europy. Nie mniej wciąż jeszcze bardzo jest trudno przewidzieć, jakie są prawdziwe zamierzenia sztabu niemieckiego. Jest rzeczą oczywistą, że wojska niemieckie walczące na froncie wschodnim — zostały zmuszone, na skutek strategii rosyjskiej do cofania się na nowe stanowiska. Teoretycznie postępowanie takie wydaje się logiczne. W praktyce jednak można mieć duże wątpliwości, czy istnieje linia obrony, na której Niemcy mogliby zatrzymać napór wojsk sowieckich i zwolnić część walczących dywizji, aby móc wystąpić je na inny front. Jeżeli nie nastąpi

OKŁADKA: Na brytyjskim polewaczu min
Str. 16: Warszawa — Uniwersytet



skrócenie frontu i jeżeli Niemcy nie znajdą dogodnych pozycji obronnych, to oczywiście nie będą mogli umniejszyć swej armii na wschodzie. Faktem jest, że ostatnio długość frontu wschodniego przekracza długość tego frontu w czasie bitwy o Kursk.

Wiadomo doskonale, że każdy odwrót staje się coraz niebezpieczniejszy w miarę jak się przedłuża. To też patrząc obiektywnie na sytuację możemy stwierdzić, tywnie w sytuacji zaskoczeni przez dwa nieoczekiwane czynniki: 1) przedłużanie się ofensywy sowieckiej na kilkusetkilometrowych odcinkach frontu, 2) sukces niemiecki, polegający na uniknięciu całkowitej klęski.

Doprawdy nie wiem, który z tych dwóch faktów uważać należy za bar-

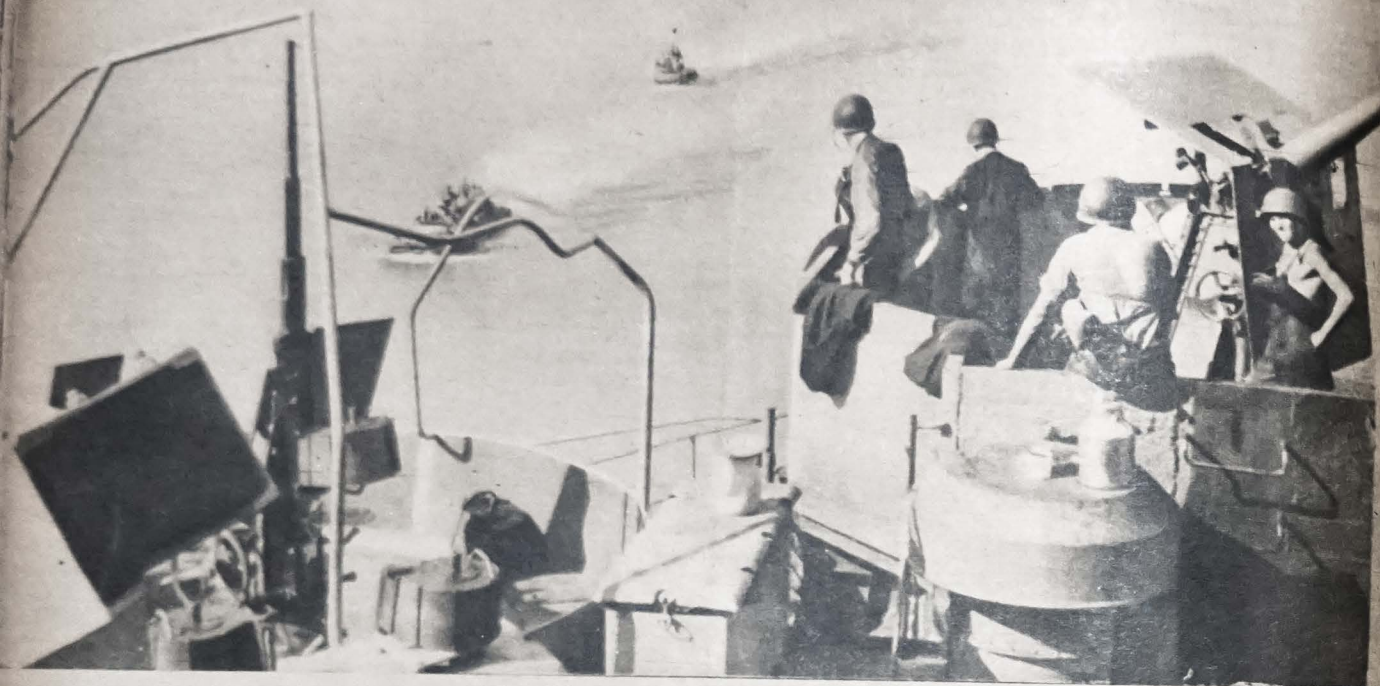
dziej wyjątkowy. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, na froncie o długości 1.600 km Rosjanie nie przestają atakować z ogromną siłą i unicestwiają. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu Niemcy ustępują terenu. A mimo to odwrót ich odbywa się w porządku, z zachowaniem pełnej dyscypliny. Jak długo tego rodzaju sytuacja może się przeciągać nikt nie potrafi przewidzieć. Lecz być może ostrożniej będzie nie łudzić się na razie mierzem zatamania Niemiec.

Podkreślić należy, że z rozwojem ofensywy otwierają się wciąż nowe możliwości strategiczne. Cele, do których zmierzają wojska sowieckie zostały już w wielu wypadkach osiągnięte i trudno jest przewidzieć, jaki jest dalszy plan rosyjskiego sztabu. Po prze-

kroczeniu Dźwiny i zajęcia kilkunastu ważnych punktów strategicznych w rejonach położonych między Dźwiną a Dnieprem — wojska sowieckie znalazły się w odległości 450 km od Prus Wschodnich. Na tym odcinku powstaje nowe niebezpieczeństwo, zagrażające bezpośrednio Rzeszy, niebezpieczeństwo, wobec którego błędna wszystkie inne. Z drugiej strony natarcie na Kijów i przecięcie Desny uniemożliwiają już dzisiaj utrzymanie pozycji niemieckich w kołanie Dniepru.

Jeżeli Niemcy będą w dalszym ciągu kontynuować odwrót — to terytorium Rzeszy stanie otworem dla sowieckich ataków lotniczych. Problem, gdzie armia hitlerowska zdoła znaleźć dogodną linię obrony staje się co dzień trudniejszym do rozwiązania.

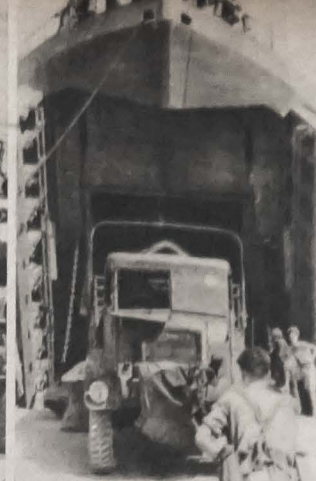
Strategic



Łodzie desantowe zbliżają się ku brzegom Włoch



W drodze...



Na miejscu...



Italia...



Sanitarna łódź desantowa

PIERWSZY KROK NA KONTYNENCIE EUROPEJSKIM

Napisał dla „Parady” LAMBTON BURN, morski redaktor „Parade”

Historyczny sygnał: „Włochy skapitulowały”



Sroda wieczorem 8 września. Desant na półwysep Apeniński projektowany jest na godzinę 3,30 jutro rano. Łądowanie ma się odbyć w pobliżu ujścia rzeki Tuscia-no około 30 mil na południe od Neapolu.

Istnieje dawny i doskonały zwyczaj ubierania się w nowe i czyste mundury przed wejściem do akcji. Na pokładzie naszego okrętu desantowego panowało wielkie ożywienie w łazienkach i w ubieralniach. Każdy starał się wykorzystać ostatni lelni natrysk przed spodziewanym długim okresem wysiłku i brakiem komfortu.

Niespodziewana wiadomość nadeszła nagle. Gdy brałem tusz, steward otworzył drzwi i wsunął głowę:

— Ukłony od kapitana. Czy pan porucznik zechciałby pójść natychmiast na pomost z aparatem fotograficznym?

— Proszę powiedzieć kapitanowi, że już idę.

Nim zdążyłem włożyć koszulę ukazał się kapitan we własnej osobie.

— Panie poruczniku, niech pan idzie zaraz, jeżeli pan chce sfotografować sygnały — powiedział. — Wie pan, Włochy skapitulowały. Trudno wymagać, żebyśmy dla pana

trzymali całą noc na masztach flagi sygnałowe.

Nie dowierając pobiegłem na górę. Porwałem aparat i zacząłem robić zdjęcia. Jedno, drugie, dziesiąte...

O szczegółach dowiedziałem się dopiero na mostku kapitańskim. Pierwszy oficer mówił: „Międzynarodowy klucz: cztery flagi w jednym rzędzie znaczą: „Włochy”. Trzy flagi w drugim rzędzie znaczą: „podały się”.

Następne godziny pełne były domysłów. Ludzie z armii, pochyleni nad mapami, gubili się w długich wywodach na temat oczekiwanych zmian w strategii w związku z kapitulacją.

O 8-mej zebraliśmy się koło głośnika w oczekiwaniu na komunikat. Speakier, wyraził się głosem potwierdził wielką nowinę. Spojrzeliśmy po sobie — uśmiechnęliśmy się — pozostawiając generałom wielkie problemy przyszłej strategii.

Ci z nas, którzy mieli łądować we wczesnych godzinach rannych poszli spać. Inni, mający jedynie obserwować operacje, zostali na pokładzie. Pałac w milczeniu czytali. Ale spokój nie trwał długo. Po chwili zaalarmował nas dzwon okrętowy. W dali przed nami zajaśniało. To ciężkie działa odezwa-

ły się z północnego zachodu. Oficer nawigacyjny odezwał się: „To z pewnością odcinek amerykański jest atakowany”. Ktoś dorzucił w ciemności: „Włochy przyjmują nas w dziwny sposób, jeżeli podpisali zawieszenie broni”.

Alarm trwał około godziny. Po tem poszliśmy do łóżek i noc przeszła spokojnie.

Dawno już wydano rozkazy, aby wszyscy byli gotowi do łądowania punktualnie o godzinie trzeciej. To też od północy rozpoczęto przygotowania. Kierowcy krzali się koło silników. Kontrolowano ciśnienie w oponach, czyszczono karabiny.

Świtać zaczęło o 6-tej. Pierwszy rzut piechoty wykonał już swoje zadanie. Zbliżał się moment desantu czołgów. W oddali rysowały się sylwetki powracających łodzi piechoty. Morze było spokojne. Z ciekawością spoglądaliśmy na łąd rozciągający się przed nami. Ktoś w szarym świetle poranka gwizdał: „Wróć do Sorento...”

Okręt płynął wciąż naprzód. Trudno jest oddać nastrój tej sceny. Wkrótce już jasne światło dzienne zdradzi naszą obecność nieprzyjacielowi. Z każdą chwilą zbliżamy się nieuchronnie do decydującego natarcia. Mimo woli myślą przebiegam ostatni rozkaz:

„Od chwili rozpoczęcia operacji okręty i łodzie będą wyładowywały żołnierzy bez względu na straty i opór nieprzyjaciela. W czasie natarcia nie zważać na uszkodzone statki, ani nie ratować rannych. Pomoc można okazać jedynie w drodze powrotnej”.

Słońce ukazało się ponad górami o godz. 6,45. Spojrzeliśmy na mapy. Nasi ludzie muszą być gdzieś w okolicy Monte Soprano. Byliśmy otoczeni potężną flotą. Koło nas

płynęły okręty służące do desantów czołgów. Poławiacze min z arogancką pewnością siebie krążyły tuż koło wybrzeży. Kontrtorpedowce i krążowniki przepływały tam i z powrotem — oddając liczne salwy w kierunku nieprzyjacielskich baterii nadbrzeżnych. Obserwator krzyknął: „Mina pływająca na prawo w skos”. Spojrzeliśmy we wskazanym kierunku. Wielki nadęty balon unosił się na fali. Lecz rozkazy były jasne — nie mieliśmy tracić czasu na wylądowanie pływających min. Posłuszni, przeczuliśmy naszą uwagę na wydarzenia, które rozgrywały się na łądźcie i zapomnieliśmy o minach.

Po chwili na maszcie zatrzepotały flagi sygnałowe. Konwój nasz zatrzymał się. Daleko, w porannej mgłę, w kierunku południowo-wschodnim widać było drugą wielką armadę zbliżającą się do wybrzeży. Wiedzieliśmy wszyscy, że tym razem uczestniczymy w operacjach zakrojonych na wielką skalę. Tymczasem okręty służące do desantu czołgów zmieniły położenie. Rozciągnięte w długim szeregu zbliżyły się do wybrzeży. Minęła nas łódź desantowa piechoty. Biedni chłopcy natłoczeni na jej pokładzie z niecierpliwością oczekiwali chwili łądowania. Promień słońca padł na notes, w którym starałem się zapisywać moje wrażenia. Monte Soprano wyrastał nad horyzontem jak wielki, czarny pień. Spojrzałem wokoło. Obsługa dział, zmęczona nocnym czuwaniem, trwały na posterunku. Wreszcie dalkatny dzwonek obwieścił wszystkim zbliżanie się śniadania. Po chwili każdy z nas miał w ręku filiżankę herbaty z mlekiem. Teraz wiedzieliśmy na pewno, że wielki historyczny dzień, długo oczekiwany, naprawdę się rozpoczął.

Raz jeszcze śruby okrętów ruszyły naprzód. I znów posuwaliśmy się w kierunku brzegu po spokojnym, nieruchomym prawie morzu. Teraz jednak tempo wydarzeń przyspieszyło się. Płynęliśmy wzdłuż długiej smugi w ślad za poprzedzającym nas drugim, podobnym do

naszego, okrętem desantowym czołgów. Żołnierze wchodzący w skład oddziałów pancernych przeznaczonych do łądowania ukończyli swoje przygotowania. W kajucie radio telegrafista notował rozkazy otrzymane od dowódców tych wojsk, które już znajdowały się na łądźcie.





Zakrętowanie w bazie



Pierwszy krok na kontynencie

Po całonocnej pracy zmęczonymi oczyma przypatrywał się błyszczącej aparaturze, która tkwiła przed nim na stole.

Nabieraliśmy szybkości. Mniejsze statki desantowe z trudem nadążały za nami dymiąc i wibrując tak, jakby obawiały się, że pozostawimy je z tyłu. Zapory balonowe większych jednostek pancernych wznosiły się ku niebu jeszcze bardziej ożywiając krajobraz i tak już niezwykły.

Spojrzałem poza siebie na oficera służbowego. Zza swej brody i wąsów przesłał mi uśmiech pokrzepienia. Wtem gwizd syreny przeszył powietrze. Alarm lotniczy! Alarm lotniczy! Alarm lotniczy! Obsługa dział na stanowiska! Działa na dziobie, ognia! Działa na rufie, ognia!

Była 7.34. Minął nas nie duży kontrtorpedowiec w trzasku żenitówek, w ogłuszającym łoskocie artylerii p-lot. Fontanny wody przy-

snęły białą pianą o kilkadziesiąt metrów za nami. To dowód, że nieprzyjaciel chybił celu i bomby padły w wodę. Baterie „ack-ack’ów” jazgotały nerwowym, ogłuszającym trzaskiem.

Wreszcie przemówiły nasze 12-to funtowe. Mój aparat fotograficzny i ja podskoczyliśmy — po tym opadli i znów wstrząsnęci, zatoczyliśmy się ku burcie.

W tym momencie przebiegło koło mnie marynarz krzyżąc mocnym głosem: „Kładka opuszczona, kładka opuszczona! „Kaczki” na brzeg! Pociski nieprzyjacielskich baterii nadbrzeżnych rozpryskiwały się nad wodą dokoła naszych lądujących „kaczek”, to jest amfibii. Z wnętrza okrętu, jakby z wielkiego kurnika, przez otwarte drzwi staczały się ciężko do wody i kurcząc krótkie łapy-koła pod siebie, płynęły sapiąc ku niedalekim brzegom. Pobiegłem na pomost i zdążyłem jeszcze wdrapać się na ostatnią amfibie-kaczkę. Bez wstrząsów równo i spokojnie potoczyliśmy się po pochyłości kładki czołgowej i zanurzyliśmy się w wodzie. Teraz płynęliśmy ku brzegowi. Silnik warczał regularnie.

Nim zdążyłem zdać sobie sprawę z tego, że płynę na powierzchni morza w czymś, co można by porównać do czołgu lub ciężarówki lecz w żadnym razie nie do łodzi — fala zmyła nasze zapasowe koło. Próbowaliśmy wyłowić je wielkim hakiem przeznaczonym do lądowania, lecz było za ciężkie. Holując je na linie płynęliśmy naprzód w na-

szy białą pianą o kilkadziesiąt metrów za nami. To dowód, że nieprzyjaciel chybił celu i bomby padły w wodę. Baterie „ack-ack’ów” jazgotały nerwowym, ogłuszającym trzaskiem.

dziei, że uda się je odzyskać na brzegu. Po chwili lina pękła i zostawiliśmy to nieszczęsne koło nie troszcząc się o nie więcej. A tymczasem pociski padały koło nas coraz częściej, coraz gęściej i coraz bliżej.

Inne stada „kaczek” spływały ze swych okrętów i wkrótce znaleźliśmy się w dwóch długich rzędach płynących ku plaży. Jasnym jest, że formacja nasza nie była dziełem przypadku. Napewno ćwiczone ją wiele razy i starannie przygotowywano w czasie licznych i ciężkich manewrów desantowych.

Niektóre „kaczki” miały brytyjską załogę. Inne obsługiwane były przez Amerykanów. Moją amfibie prowadził Wilfred Porkey, Amerykanin z Worcester Mass, a jego dwaj pomocnicy pochodzili z Pittsburga i Filadelfii. Wszyscy trzej wyglądali zdrowo, młodo i nie zwracali żadnej uwagi na coraz silniejsze bombardowanie nieprzyjacielskiej artylerii.

Wreszcie dobrnęliśmy do brzegu. 20 jardów za linią wody stały głośniki i sygnaty wskazujące dalszą drogę. „Ruch” był regulowany również precyzyjnie i dokładnie jak gdyby chodziło o centrum Londynu. Tu na tej odludnej i dalekiej plaży włoskiej, na której nigdy dotychczas nie ukazał się samochód lub czołg brakowało tylko angielskiego policjanta w granatowym hełmie i zielonych, pomarańczowych i czerwonych świateł wskazujących pierwszeństwo przejazdu.

„Kaczki” przechodziły z wody na ląd ruchem podobnym do ruchu powstającego wielbłąda. Otrząsając się z wody, parszkając i chybotając się na kołach pętały między nadbrzeżne wydmy piaszczyste. Plaża była wciąż jeszcze pod ostrzałem dział niemieckich, lecz bombardowanie stawało się nieregularne i nerwowe. A tymczasem nadpływały ciężarówki, amfibie, wojsko, czołgi i wielkie motorowe promy. Nadszły działa, przybywały skrzynie amunicji, ciągniki i maszyny wszelkiego typu. Między wydrami ustawiono już pierwsze baterie „ack-ack’ów”, wzdłuż wybrzeży rozciągnięto zastawę dymową. Na plaży widniały dwie wielkie tablice. Na pierwszej był napis: „Wjazd” na drugiej „Wyjazd”. Wszędzie pracowano, spieszono się, wykonywano plan. Wszędzie panował porządek — spokój — dyscyplina.

Żołnierze sprzymierzonych narodów stanęli w Europie. Otrzymali zadanie trudne. Mieli właściwy sprzęt, właściwą organizację i właściwe dowództwo. Lecz co — posiadali wolę walki i w zwycięstwo

RAF ZDOBYWA NOWE BAZY WE WŁOSZECH WYPADEM KOMANDOSÓW LOTNICZYCH

Stukot mojej maszyny do pisania przerywa od czasu do czasu huk ciężkich dział. Donośny świst przesywa powietrze — baterie niemieckie są wciąż czynne poza wzgórzami. Lecz strzały stają się coraz rzadsze. Zwiadowcze eskadry RAF’u współdziałając z naszymi artylerzystami niszczą, jedną po drugiej, nieprzyjacielskie baterie dział polowych.

Od kilku godzin RAF zapanował nad zdobytymi terytoriami półwyspu Apenińskiego. Lotniska, hangary, składy benzyny, warsztaty, pola do lądowania, stacje meteorologiczne — zdobyliśmy jednocześnie z zajęciem strategicznych obiektów przez oddziały armii lądowej. Sukcesy te zawdzięczamy oddziałom komandosów RAF’u.

W ostatnich operacjach komandosi RAF’u odegrali historyczną rolę. Weszli do akcji razem z oddziałami szturmowymi. Lecz zadanie ich było odrębne. Polegało ono na zdobyciu benzyny, bomb lotniczych, amunicji dla myśliwców i części zamiennych. Wyposażeni w jaknajlepszy ekwipunek, uzbrojeni w krótką broń automatyczną, biegli na najbliższe lądowiska, o bezwładniali załogi nieprzyjacielskie, obejmowali składy zaopatrzenia i czekali na przybycie pierwszych samolotów sprzymierzonych. Prócz wysiłku bojowego zadania ich wymagały czasem ciężkiej pracy. Na jednym z lotnisk przez 36 godzin nieprzerwanie naprawiali asfaltową nawierzchnię lądowiska, aby umożliwić lądowanie niespokojnym „Spitfirów” RAF’u.

Motto komandosów lotniczych jest proste: „Służyć wszędzie i zawsze”.

Jeden z oddziałów komandosów lotniczych, który lądował łącznie z piechotą brytyjską, zabłądził w poszukiwaniu niemieckiej bazy lotniczej. Niemcy przywitani „intruzów” gęstym ogniem z cekaemów na jednej z odludnych plaży nadmorskich. Ostrzeliwując się ze swych automatycznych pistoletów komandosi zdołali nawiązać kontakt radiowy z przepływającym opodal kontrtorpedowcem brytyjskim, który ogniem swych dział zniszczył gniazda nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

Jedno z lotnisk niemieckich było przedmiotem zaciętej walki. Dwu-krotnie przechodziło z rąk do rąk. Komandosi zdobyli ostatecznie przewagę nad nieprzyjacielem, lecz zajęty rejon pozostawał wciąż pod ostrzałem nieprzyjacielskich dział. Sekcja techniczna pod gradem kul wyrównywała teren i umożliwiła lądowanie samolotom amerykańskim przybyłym w godzinę później.

Na innym lotnisku, dzięki poświęceniu saperów RAF’u, udało się uniknąć katastrofy kilku „Spitfirów”, które wyczerpały zapas benzyny szukały schronienia w pobliżu patrolowanych wybrzeży. Saperzy wypełnili wyrwy po niemieckich pociskach przywiezionymi workami z piaskiem i „Spitfiry” wylądowały bezpiecznie.

Po przybyciu na jedną z głównych baz lotniczych, na atakowanym odcinku, spotkaliśmy grupę



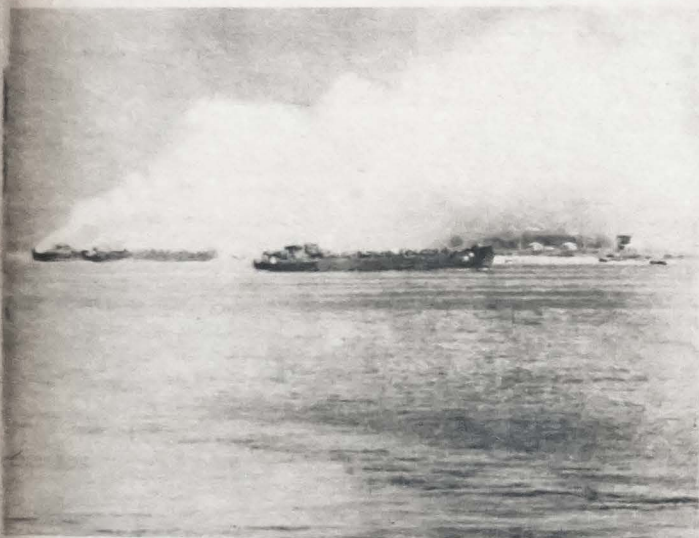
Pierwszy z komandosów RAF’u po wylądowaniu we Włoszech

oficerów włoskich. Dowódca lotniska, starszy, prawie już siwy pułkownik włoski, otrzymał od Niemców zakaz poruszania się w terenie operacji. Lecz gdy tylko pojawiły się wojska sprzymierzone oficerowie włoscy z entuzjazmem poddali się w myśli odpowiednich paragrafów zawieszenia broni. Uprzejmy pułkownik poinformował nas, że Niemcy korzystali z lotniska aż do ostatnich dni i nie spodziewali się zupełnie desantu sprzymierzonych w tym rejonie. Wiadomość o lądowaniu zaskoczyła ich i przejęta strachem. Uciekali w popłochu na wszystkich samolotach zdolnych do lotu. Dwa transportowce skapotały na starcie na skutek pośpiechu i ogólnej paniki.

Na kwaterach „Flugleitung” zastaliśmy porozrzucane walizki, kufry i skrzynie pełne map, dokumentów i papierów. Na stole komendanta lotniska leżał niedokończony list do domu.

Na wpół spalony Junkers 88 i dwa Messerschmitty 110 stanowiły łup komandosów na zakamulowanym lotnisku niemieckim położonym na płaskiej wydmie piaszczystej w okolicach Monte Soprano. Niemcy zostawili tam jeszcze jedną, droгоценą rzecz: długą płócienną „kiszkę”, tak zwany „rękaw” wskazujący kierunek wiatru. Trzej potań on w powietrzu rzucając długi, ostry cień w kierunku Berlina.

Michael Selzer



Zastawa dymna przystania desant

Opatrywanie rannego. Na drugim planie otwarta „brama” łodzi desantowej



Bańki pełne benzyny na zdobytym niemieckim lotnisku. W głębi zniszczony niemiecki samolot

BĘBNY BIJA W PUSZCZY WUKUDU SOKODEI



Bębny Apasu zaczynają mówić



Puszcza wycięta pod uprawę kakao



Główna ulica w Mampong

Niech ta krwawa środa w Sokodei — Wukudu Sokodei — pamiętna będzie przez pokolenia. Niech duchy padłych w Wukudu Sokodei zniszczą każdego, kto zechce złamać pokój puszczy. I został zawarty pokój między plemionami puszczy.

I biada temu, kto go łamał. Bębny poczynają wołać „Wukudu Sokodei”, a głos ich sięgał wszędzie. Głowa spadała z karku członka plemienia, na którego szef rzucił „Wukudu Sokodei”.

Jest przyjemny, chłodny wieczór w puszczy w Mampong. Siedzę z mym czarnym przyjacielem dr Oku Amfogo w domu bogatego plantatora Kwami Ayew z plemienia Twi. Na stole pali się lampa naftowa, jemy fistaszki i gwarzymy o małych, obrosłych pleśni drzewkach kakao, o ich dziwnych losach i o „Wukudu Sokodei” — strasznym zakleciu, które do dziś rządzi puszcza i które parę lat temu spowodowało, że cena ziarna kakao skoczyła z ośmiu szylingów na dwadzieścia cztery.

Kwami Ayew o kształtnej głowie i byszczących mądrością oczach ma lat 75. Nie mówi po angielsku — za tłumacza służy nam doktor. Mimo niezajomości angielskiego Kwami Ayew jest prezesem związku farmerów kakao, był dwukrotnie w Anglii i raz w Ameryce. Jest zapewne jednym z najlepszych znawców kakao i jego problemów na świecie.

— Pamiętam — mówi — jak w roku 1880 mój ojciec (właściwie wuj, ale wuj i ojciec znaczy to samo w języku Twi) Tettech Quarchie przywiózł ze swej podróży sadzonki kakao z wyspy Fernando Po. Pierwsze drzewko zasadzone tutaj w Mampong. Przyjęło się doskonale. Zaczęliśmy je sadzić wokół, wycinając puszcze. Dziś na Złoty Wybrzeżu milion akców znajduje się pod jego uprawą, a produkcja kakao wynosi ponad 250.000 ton, czyli 40 proc. zapotrzebowania świata.

Drzewko kakao zmieniło nasze życie. Za ziarno kakao, do puszczy poczęły płynąć pieniądze. Ludzie zaczęli kupować europejskie produkty. We wsiach pojawiły się faktorie dla skupu kakao i sprzedaży tych produktów. Dla transportu kakao potrzebne były drogi, a ponieważ mucha tse-tse uniemożliwiała trzymanie koni, więc zjawili się samochody. Synowie nasi poszli do szkół misyjnych, a dla wnuków mieliśmy już dość pieniędzy, by wysłać ich na uniwersytety europejskie.

Drzewka kakao wymagają opieki, ale całość produkcji nie zajmuje nam zbyt wiele czasu. Drzewka owocują dwa razy w roku. Owoc dojrzały jest żółty. Zrywa się go i przecina machetem, a zawartość: biały płyn i duże, fioletowe kolory, grochy wysypuje się do płytkego dołu. Gdy dół zostaje wypełniony pokrywa się go liśćmi. Po siedmiu dniach ta papka fermentuje. Grochy oddzielają się od reszty. Wówczas zbiera się je i suszy w słońcu na dużych stołach, po czym wysypuje się do worków, które dostarcza faktoria.

Nim taki worek zostanie załadowany na statek w Accra czy Takaradi, odbywa on długą podróż i przechodzi przez wiele rąk. Farmer w dalekiej puszczy niesie go ścieżkami nieraz przez kilka dni na swej mocnej głowie. We wsi, do której go przyniósł, skupuje kakao prywatny przedsiębiorca, który z kolei sprzedaje je przedstawicielowi jednej z wielkich firm europejskich. Przed wojną ceny kakao dość poważnie wahały się. Ten, kto potrafił szybko i we właściwym czasie zwieźć produkt, osiągał bardzo poważne zyski. Nic też dziwnego, że na Złoty Wybrzeżu kupowano rocznie ponad 3000 ciężarówek, to znaczy więcej, niż we wszystkich razem wziętych koloniach zachodniego wybrzeża, od Dakaru poznaczając na Kongo Belgijskim kończąc.

W roku 1934 wielkie firmy, skupujące kakao porozumiały się z sobą i zaprzętały konkurencję. Cena kakao spadła do 8 szylingów za worek, co kompletnie rujnowało farmerów.

Objęliśmy w tym czasie całe Akwapim, byłem w Kumasi. Farmerzy byli oburzeni i uważali, że dzieje im się wielka krzywda.

Dalszą część historii Kwami Ayew znam z opowiadań przedstawicieli firm handlowych w Accra i miejscowej administracji.

Kwami Ayew nakazał bić państwowym bębniem „Wukudu Sokodei”. Bębny od wsi do wsi zaczęły powtarzać wielkie klękie. Tym razem nie człowiek, ale dwa potężne koncerny europejskie znalazły się w jego mocy.

„Kto sprzedaje — mówią bębny — choć ziarno kakao tym dwóm firmom, będzie wyjęty z pod prawa „Wukudu Sokodei” będzie żądało jego głowy”.

Więść szła puszcza od wsi do wsi. W ciągu niespełna dwóch tygodni wieść oddalona od Mampongu o ponad 1000 km wiedziała już o „Wukudu Sokodei”. Kakao znikło z magazynów skupu. Ani jeden czarny nie pojawił się z jego cennym ładunkiem u brokera.

Przez osiem miesięcy trwała walka. Kwami Ayew został wezwany do Londynu. Konferencja jednak nie odniosła skutku. Wreszcie firmy uległy. Zamiast pierwotnych ośmiu szylingów farmer otrzymał dwadzieścia cztery.

Kwami nakazał znów bić w bębny. Przez puszcze poszła wieść radозна: „Zwyciężyliśmy, Wukudu Sokodei zniszczone”!

Henryk Giedziński

Str. 2: fot. Gidal „Parade”
Str. 3: mapa Longman
Str. 4, 5, 6 i 7: fot. Bela Zola „Parade”
Str. 8 i 9: fot. Podreński
Str. 13: fot. Witold K.
Str. 14: fot. Giedziński

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

Noc całą Kwami Osei — szef plemienia Twi — spędził pod wielkim drzewem opampam, naradzając się ze starszyzną. Po bitwie wczorajszej w Sokodei, w pół drogi między stolicą puszczy Kumasi i stolicą wzgórz Kofirdua, był on jedynym wojownikiem krwi królewskiej z trzech plemion Twi, Fanti i Aszanti, który pozostał przy życiu. Reszta legła w morderczych zapasach. Dziś było zawieszanie broni. Twi chowali swych poległych z kłębami z Akropongu, Tutu i Late. Z drugiej strony strumienia dochodziło żałośnie bicie bębni. To Fanti i Aszanti oddawali ostatni hołd swym przywódcom.

— Środa, dzień bitwy w Sokodei — zapisze się krwawo w historii naszego plemienia — mówi Kwami Osei. — Jeśli nie zaprzestaniemy walki, plemiona wybrzeża Ewe i Accra spładują wieś nasze i sprzedadzą w niewolę naszych synów i córki na targowiskach w Accra i Lome. Czy nie lepiej zawrzeć pokój?

Radzili całą noc, aż wreszcie Kwami Osei nakazał ustawić królewskie bębny i podać: „Chcemy pokoju, wyślijcie posłów nad potok”.

Szef bębni, siwowłosa Kwahu z Akropongu, ustawił swe dwa bębny „apasu” na wzgórku. Wokół zajęły miejsca bębny towarzyszące. Wszyscy w puszczy wiedzieli, że bębny „apasu” w rękach Kwa-

hu mówią głosem ludzkim. Gdy zakrzywione pateczki uderzyły w naciągniętą skórę antylopy — każdemu z plemienia Twi, Aszanti i Fanti zdawało się, że słyszy: „Szef Twi woła — słuchajcie, słuchajcie”.

Po krótkiej chwili, zdala, z ciemnej nocy odpowiedziały bębny Fanti: „Szef słucha”, a bębny Aszanti wtórowały im. „Słuchamy”.

Z pół godziny trwała rozmowa bębni. Ustalono, że szefowie zbiorą się bez broni z dwoma tłumaczami i dwoma niewolnikami przy potoku o świcie.

Nad puszcza unosiły się mgły poranne, niedźwiadek palmowy krzyczał swym przeraźliwym głosem, Kwami Osei siedział na swym tronie pod wielkim, jedwabnym parasolem, oznaka, jego władzy królewskiej. Obok stali tłumacze. Po krótkiej chwili z gęstwiny bambusów i płatynian lian ukazały się postacie wczorajszych wrogów — przedstawicieli plemion Aszanti i Fanti.

Usiedli po obu stronach potoku. Pierwszy odezwał się Kwahu Osei:

— Wczoraj, w środę, w Sokodei zginęli na polu bitwy najlepsi z plemienia Twi i z waszych plemion. Krew królewską wsiąkała w ziemię puszczy, jak krew zwykłego niewolnika. Zaprzestańmy walki, a kto ją podejmie niech będzie przeklęty.



Polana w puszczy



Bębny Apasu, Merima i Atunpa biją razem

H U M O R amerykański

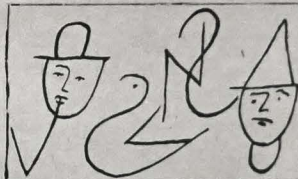


Tatusiu — czy jesteś pewien, że jestem jeszcze za matę żeby się golić?

Rozstrzygnięcie konkursu

W dniu 1 września br. upłynął termin nadsyłania rozwiązań na konkurs rysunkowo-poetycki ogłoszony przez „Paradę”.

Pomimo bardzo wielu odpowiedzi ogólny poziom nadesłanych rysunków i wierszy był bardzo niski. Po przejrzeniu wszystkich materiałów konkursowych jury przyznało pierwszą i jedyną nagrodę jedenastoletniej pannie Krysii Hobert z Jerolimij. Drukujemy poniżej jej wierszyki i reprodukcję kilku jej rysunków. Wraz z serdecznymi życzeniami przesyłamy jej pocztą dwie ilustrowane książki z dedykacją od „Parady”.



Odpowiedzi redakcji

Pchor. Bar. Maks. Dziękujemy za nadesłane dwa sonety. Zatrzymujemy je w tecce.

P. St. Kant. Dziękujemy za wiersz pt.: „List do syna”. Niestety forma utworu słaba, nie skorzystamy. Załączony kupon — do dyspozycji Pani.

Kan. Ol. Żyg. Dziękujemy za felieton pt.: „Nie ma to jak rodzinna strzecha”. Napisany jest dobrze, lecz tematycznie

nie wnosi nic nowego. Prosimy o inne utwory.

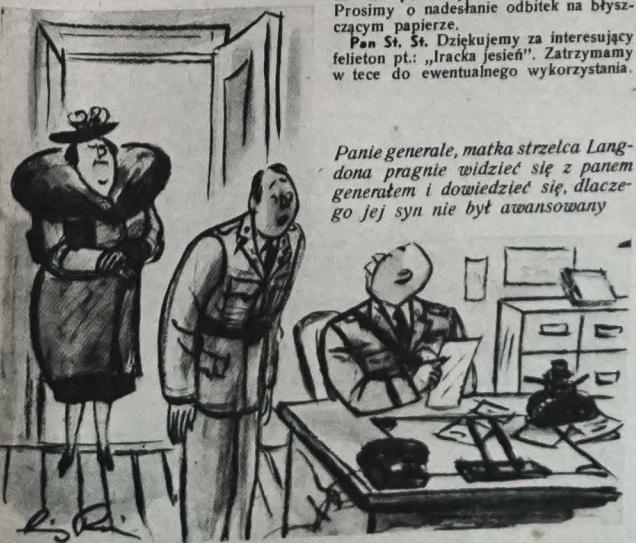
Pchor. Str. M. Dziękujemy za opowiadanie pt.: „Oberleutnant S. S.”. Niestety nowelka ta jest znacznie słabsza od Pana utworów drukowanych w innych pismach.

Warm. E., „Bim-Bam”. Nie skorzystamy.

P. J. Col.-W. Dziękujemy za wiersz pt.: „Modlitwa”. Niestety forma słaba. Prosimy o inny wybór poezji.

P. St. Norb. Nadesłane fotografie bardzo interesujące. Niestety błędy techniczne nie pozwalają na reprodukcję. Prosimy o nadesłanie odbitek na bieżącym papierze.

Pan St. St. Dziękujemy za interesujący felieton pt.: „Tracka jesień”. Zatrzymamy w tecce do ewentualnego wykorzystania.



Panie generale, matka strzelca Langdona pragnie widzieć się z panem generatem i dowiedzieć się, dlaczego jej syn nie był awansowany



Salutować, czy nie salutować?

To nic mamo — to tylko próbny „black out” dla rybek



To jest szalenie miłe z pani strony, panno Mary — napisałem mamusi, że już więcej za nią nie tęsknię... ↓



Jaro Fabry

